

# Tadeusz Biliński

---

## Podróż do Birmy : Złota Pagoda, buty, buddyzm i okrucieństwo

---

Palestra 51/11-12(587-588), 153-157

---

2006

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



Tadeusz Biliński

## Podróż do Birmy

### Złota Pagoda, buty, buddyzm i okrucieństwo

Ojciec Sangermano, włoski misjonarz, który po wieloletnim pobycie w Birmy wydał w początku dziewiętnastego wieku w Rzymie „Opisanie Imperium Birmańskiego”, tak tłumaczył zainteresowanie tym odległym i trudno dostępnym krajem: „W całej swojej historii Birma przyciągała poszukiwaczy przygód, podobnych do tych dawnych wędrowców, szukających krain malowniczych i dziwnych”.

Nic dodać, nic ująć, tak zostało do dziś. Kraj jest wciąż wspaniale, niezwykle malowniczy, ludzie uroczy, kobiety przepiękne, a system polityczny – co najmniej dziwny, jak za czasów Sangermano i wcześniej, czyli wart obejrzenia.

Okolice Rangun, oglądane z samolotu, to zielona równina podzielona na kwadraty błyszczących w słońcu pól ryżowych i niewielkich kęp bambusów. Między nimi stoją strzeliste, bielone, zadziwiająco liczne pagody. Pagoda to najpowszechniejsza w Birmy budowla nieprzeznaczona do mieszkania. Birmańczycy są głęboko religijnymi buddystami. Postawienie pagody uznawane jest za dużą zasługę religijną i bardzo liczy się w spisie dobrych uczynków. Pośmiertna procedura jest dość prosta: każdy przedstawia rejestr postępów dobrych i złych. Kiedy pierwszych jest więcej, przybliża go to do głównego celu każdego człowieka, jakim jest ostateczne wyzwolenie z kręgu kolejnych wcieleń, a w rezultacie tego – od cierpienia. Bo życie jest cierpieniem, co do tego Birmańczycy nie mają wątpliwości. Dlatego na własny koszt stawia, kto może, własną pagodę. Starych się nie remontuje, bo postawiono je kiedyś, dawno temu, w imię zasług jakichś nieznanych, zmarłych ludzi. Pagody-ruiny, wspomnienie umarłej nadziei, współżyją w tym kraju z pagodami świeżutko bielonymi wapnem, symbolem nadziei żyjących.

Rangun, do niedawna stolica kraju, to ciekawe miasto. Ma w sobie czar starej kolonialnej, zapomnianej już metropolii z willami ocienionymi przez pnącza bugenwilli, kępy bambusów i palmy, ze śladami kolejnych pór monsunowych na bielonych ścianach. Ma też nowoczesne centrum z wieżowcami i sklepami otaczającymi stary Scott Bazar, gdzie w chłodnym cieniu można kupić prawie wszystko pod słońcem, poczynając od masek łowców głów z plemienia Naga, kolonialnych memorabiliów, po tekstylia i precjoza ze złota i kamieni szlachetnych.

Ale największym klejnotem kraju, a nie zawaham się stwierdzić, że jednym z najcenniejszych na świecie, jest Shwedagon Pagoda, zwana popularnie Żółtą Pagodą. Widziałem wiele pagód, w różnych krajach Azji, ale nigdy czegoś równie wspaniałego, bogatego, a jednocześnie lekkiego i pełnego wdzięku, jak ta. Nie tylko ja zresztą. W końcu XVI wieku Anglik Ralph Fitch napisał o niej: „...nazywają ją Dagonne, i jest wspaniale wysoka, cała pokryta złotem od dołu aż po szczyt... jest najcudowniejszym miejscem na całym świecie...”. Według archeologów, w swojej pierwotnej wersji powstała między szóstym a dziesiątym wiekiem, ale była później wielokrotnie przebudowywana, po kolejnych trzęsieniach ziemi, wojnach i spadających na kraj kataklizmach.

Do pagody wchodzi się boso. Jest to wyrazem szacunku. Boso, naturalnie, chodzi się we własnym domu, w dawnych czasach przed audiencją u króla zdejmowano buty. Dla Europejczyka dziwny to dość obyczaj, bo my boso chodzimy tylko po plaży, ale dla Azjaty, w szczególności mieszkającego w tropiku, to naturalna codzienność. A w Żółtej Pagodzie jest to także miłe – chłodny, jasny marmur, nieskazitelnie czysty, którym wyłożony jest dziedziniec, przyjemnie chłodzi stopy i człowiek łatwiej odnajduje fizyczną bliskość z tym co wokoło, może nawet z transcendentem?

Boso czy w butach? Takie wydawałoby się drobiazgi, dla nas niewiele znaczące, w kolonialnej Birmie urastały do rangi zasadniczego problemu w stosunkach władzy z miejscową ludnością. Pytanie – w butach, czy boso, przestało być kwestią kulturową nabierając charakteru prestiżowego. Brytyjczycy nie zamierzali zdejmować butów w świątyniach. Ostatecznie to oni zarządzili tym krajem, uznawali więc, że ich przyzwyczajenia i obyczaje powinny dominować. Po pierwszej wojnie birmańsko-brytyjskiej w 1824 roku i później w połowie XIX wieku Anglicy złupili Żółtą Pagodę i stacjonowali swój oddział na jej terenie. Chociaż źródła historyczne nic o tym nie wspominają, to jest mało prawdopodobne, aby chodzili po niej boso.

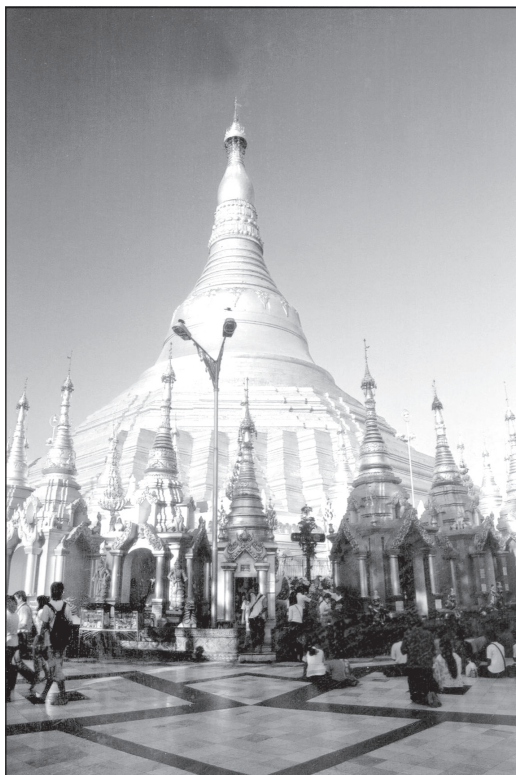
Później, kwestia butów przyjęła znacznie poważniejszy, nawet symboliczny charakter. Brytyjcy wysłannicy od dawna protestowali w związku z, jak uważali, brakiem szacunku okazywanym im przez Birmańczyków, którzy wymagali, aby podczas audiencji u króla, zgodnie z miejscowym zwyczajem, nie tylko siedzieli na podłodze, ale na dodatek bez obuwia. Żeby wyjść z tej nieprzyjemnej i poniżającej dla nich sytuacji – czy wysłannik Imperium może siedzieć boso na podłodze przed jakimś miejscowym kacykiem – Brytyjczycy zdecydowali się na zastosowanie podstępu. Kiedy ówczesny książę Walii, późniejszy król Edward VII, odwiedził Indie, władca Birmy wysłał do niego swoich ambasadorów. Zostali przyjęci w obuwiu i zezwolono

im nawet na zajęcie krzeseł. Anglicy potraktowali to jako precedens dyplomatyczny, domagając się od birmańskiego władcy zastosowania zasady wzajemności, a kiedy odmówił, zerwali z nim wszelkie kontakty. Utrata bezpośredniej łączności dyplomatycznej miała dla Birmy znaczące i nieprzyjemne konsekwencje. W 1885 roku Brytyjczycy wysłali ekspedycję wojskową, która ostatecznie podbiła królestwo. Sprawa butów nie była dla podjęcia tej decyzji kluczowa, ale istotny był brak bliższej łączności obydwu sąsiadów, do którego doprowadziło obsesyjne wręcz przestrzeganie przez Birmańczyków własnego protokołu. Zdawali się nie rozumieć, że jako słabsi powinni we własnym interesie wykazać więcej giętkości i sprytu.

Brytyjski oficer, który 28 listopada 1885 roku wkroczył do pałacu królewskiego w Mandalay, żeby aresztować Thibawa, ostatniego króla Birmy, nosił rzecz jasna buty, i to do konnej jazdy.

Na tym jednak historia się nie skończyła. Jak można się było spodziewać, kwestia obuwia pozostała problemem politycznym, a Złota Pagoda jednym z ośrodków ruchu antybrytyjskiego w Birmie. Problem, czy chodzić na terenie Złotej Pagody bosy, powodował tyle komplikacji i kłopotów politycznych, że ostatecznie w 1921 roku Brytyjczycy wprowadzili przepis nakazujący zdejmowanie butów wszystkim, poza wojskiem i policją na służbie. Było to chyba pierwsze poważne ustępstwo na rzecz narodowego ruchu Birmańczyków.

Birmańczycy wyznają buddyzm w jego odmianie południowej, albo Theravady. Buddyzm dotarł do Birmy bezpośrednio z Indii, kiedy wielki władca tego kraju Aśoka już w trzecim wieku przed naszą erą wysłał misjonarzy do Azji Południowo-Wschodniej, w tym także do najbliższej leżącej Birmy. Później działalność misjonarską prowadzili mnisi z Cejlonu. Religijne związki birmańsko-cejlońskie pozostają bardzo silne do dziś dnia. Buddyzm nie jest dla Birmańczyków martwą literą, rytuałem do odbębnienia raz na jakiś czas. Jest wciąż żywą religią (a może raczej systemem filozoficznym ukazującym dość oczywiste prawdy życia) i dotyczy każdego poszczególnego człowieka, w sposób jak najbardziej dosłowny.



Każdego ranka sznur mnichów w buraczkowych szatach maszeruje ulicami birmańskich miasteczek i osad. Każdy z nich niesie przed sobą duży drewniany pojemnik na jałmużnę, którą jest zazwyczaj ryż, różne przyprawy, owoce, chleb. Wierni wkładają żywność do pojemników, w geście uszanowania składają ręce jak do modlitwy, a mnisi idą dalej, mijając kolejne obejście, gdzie gospodyni dokłada do miski. Mnisi idą nie zatrzymując się, nie ogłaszają swojego nadejścia. Nie czekają na nikogo. Oni po prostu idą, wypełniając w ten sposób swój religijny obowiązek, ponieważ role obydwu stron są doskonale znane od wieków. Jeśli ktoś nie zdąży i nie dołoży do pojemnika, to jego strata, ponieważ ominie go spełnienie dobrego uczynku, który na pewno zostanie zapisany i będzie liczył się przy ostatecznym, pośmiertnym zdawaniu rachunku. Ponadto każdy wierny był kiedyś mnichem i sam chodził po jałmużnie.

W tym kulturowo i religijnie konserwatywnym kraju oczekuje się, że każdy mężczyzna przynajmniej dwa razy w życiu założy mniszą sukienkę i spędzi kilka miesięcy w klasztorze. Po raz pierwszy w postaci nowicjatu w wieku 10–20 lat, później już jako pełnoprawny, dorosły, chociaż nie dożywotni mnich. Praktycznie wszyscy birmańscy mężczyźni na jakimś etapie swojego życia przeszli przez ceremonię shinpyu, stając się na jakiś czas mnichami. Nie jest to tylko obowiązek ich samych, jako wiernych, ale powinność społeczna. Mnich w rodzinie to wysoko ceniony dobry uczynek, który, podobnie jak pagoda, liczy się później w tym najważniejszym sprawozdaniu, które każdy z nas wcześniej czy później złoży. Nowicjusze przyjmują na siebie szereg zakazów: nie kłamać, nie kraść, nie zabijać, nie spożywać napojów i pożywienia powodującego intoksykację, stronić od stosunków seksualnych, nie jeść po południu, nie słuchać muzyki ani nie tańczyć, nie nosić biżuterii, girland. Nowicjuszowi nie wolno perfumować się, spać na „wysokim łożu” oraz przyjmować darów pieniężnych na prywatny użytek. W Birmie zamieszkaną przez ponad pięćdziesiąt milionów ludzi jest około pół miliona mnichów zaludniających z górą pięćdziesiąt tysięcy klasztorów. Birmańczycy, którzy zdecydowali się na pozostanie w klasztorze na stałe, specjalizują się najczęściej w medycynie ludowej, magii i egzorcyzmach mających osłabić negatywne skutki działań natów, wszechobecnych złych duchów czyhających w koronach drzew, gajach bambusowych, na skrzyżowaniach dróg, na przełęczach górskich, ścieżkach i na polnych drogach na dusze bogobojnego ludu. Ich wiedzy towarzyszy społeczny szacunek, którym powszechnie cieszą się nawet niewiele jeszcze potrafiący młodociani nowicjusze.

Buddyzm traktuje się powszechnie jako religię wyjątkowo pokojową, odwołującą się wręcz do nieprzemocy, w Indiach zwanej ahimsą. Według jednej z legend Budda przyczynił się kiedyś do rozwiązania krwawego sporu między władcami, przemawiając do ich zdrowego rozsądku. „Jak napisano w kronice, dwaj władcy przygotowywali się do strasznej walki, będącej wynikiem sporu o groble. Pomiedzy wrogimi armiami pojawił się Budda z pytaniem o przyczynę konfliktu. Kiedy wyjaśniono mu, w czym rzecz, zapytał:

Powiedzcie mi, o królowie, czy ziemia ma jakąś samoistną wartość?

Żadnej, absolutnie – odpowiedzieli.

Czy woda ma jakąś samoistną wartość?

Nie ma żadnej.

A czy krew królów ma jakąkolwiek samoistną wartość?

Jest bezcenna.

Czy zatem jest rozsądne – zapytał Budda – stawianie na szalę czegoś, co jest bezcenne, przeciw czemuś, co pozbawione jest jakiegokolwiek wartości?

Wzburzeni królowie dostrzegli mądrość tego rozumowania i rozeszli się w po-koju”.

Niestety, rozsądek Buddy, przejawiony z górną dwa i pół tysiąca lat temu, nie przetrwał jego śmierci. Ponadto ani on sam, ani jego bezpośredni uczniowie nie zostawili po sobie pisanego, klarownego kanonu wiary i filozofii, którego mogliby trzymać się następcy. Nastąpiła schizma prowadząca do powstania dwóch głównych odłamów buddyzmu – Therawady i Mahajany. Therawada, w dużym skrócie, przyjmuje, że każdy człowiek musi sam, z uporem zabiegać o osiągnięcie nirwany, czyli kresu wcieleń. Twój los zależy tylko od ciebie. Zwolennicy Mahajany są natomiast zdania, że człowiek powinien czasowo zrezygnować z indywidualnej nirwany, nawet gdyby mógł ją osiągnąć dzięki swojej doskonałości, co jest bardzo wątpliwe, wstrzymując się do chwili, kiedy cała ludzkość będzie do tego gotowa. Nie powinien aspirować do pozycji całkowicie oświeconego Buddy, a jedynie Bodhisatwy, a więc takiego, który znajduje się na dobrej drodze do zostania kiedyś w przyszłości Buddą. Między tymi dwoma szkołami brak porozumienia. O Mahajanie mówi się często, że jest łatwą drogą do oświecenia, bo wystarczy tylko wierzyć i polegać na pomocy Bodhisatwy, podczas gdy Therawada jest bezlitosna. Człowiek jest w niej pozostawiony samemu sobie.

W Birmy i na Sri Lance wyznaje się Therawadę i co interesujące, obydwie te społeczności nie należą do szczególnie pokojowych. Na Sri Lance od dwudziestu lat toczy się bardzo krwawa wojna domowa, spowodowana nie tylko i wyłącznie dążeniem części mieszkańców wyznających hinduizm do oderwania się i utworzenia własnego państwa. Sytuację wewnętrzną w tym kraju bardzo skutecznie podgrzewają również skrajnie nacjonalistyczne i nietolerancyjne organizacje buddyjskie. Być może sytuacja, w której religia nie spełnia roli spoiwa społecznego i narodowego, spowodowała konieczność wytworzenia zewnętrznej, uzbrojonej struktury obronnej. Ta struktura obronna z biegiem czasu przekształciła się w coś w rodzaju tkanki rakowej niszczącej organizm, który ją stworzył. Okrucieństwa birmańskiej junty wojskowej są dobrze znane. Jej ofiarami stają się nie tylko mniejszości narodowe, którym władze zarzucają tendencje separatystyczne, ale w równym stopniu birmańscy buddyści, stanowiący główną grupę etniczną i religijną kraju. Okrucieństwa te nie są wcale czymś nowym ani zaskakującym. Birma zawsze taka była.